Wydawnictwa rok VI
Dnia 19 lutego 1928 r.

Nr. 233

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

W RAJU SOWIECKIM GINĄ Z GŁODU DZIECI.

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Swiat 22 tel 283-26.

NIEDYSKRECJE.

NOTA POLSKA DO LITWY stanowczością swoją kładzie kres jałowej dyskusji za pomocą której rząd kowieński, uciekając się do kruczków w stylu prowincjonalnych pokątnych doradców pragnie odroczyć rokowania z Polską na czas nieokreślony. Gorszące widowisko, jakie sprawia światu p. Waldemaras, musi się skończyć. Zobowiązał się on uroczyście w Genewie do zakończenia „stanu wojny", a wszystko, co czyni od tej chwili, skierowane jest ku jego przedłużeniu. Ten stan rzeczy nie może trwać ad infinitum, a im prędzej się skończy, tem lepiej dla Litwy. „P. Waldemaras rozczarował wszystkich i u nikogo w Europie nie znajdzie poparcia"—pisze „Temps", witając wraz z całą niemal prasą francuską ostatnią notę min. Zalewskiego. Podobne naogół stanowisko zajęła i postępowa opinja publiczna w innych krajach, za wyjątkiem dzienników, obałamuconych przez niemiecko-sowiecką propagandę lub też jawnie służących jej interesom.

Nas p. Waldemaras bynajmniej nie rozczarował. Nie sądziliśmy, że po wybuchu szału natychmiast przyjdzie otrzeźwienie. Uzurpatorzy władzy mają to do siebie, że niechętnie przyznają się do popełnionych błędów. Fałszywa duma nakazuje im nadewszystko troskę o oparty na tych błędach prestiż własny. P. Waldemaras woli rzucać wyzwanie Polsce, Lidze Narodów i całemu światu, aniżeli skompromitować swą nieomylność w oczach swych czcicieli. Ale logika wypadków jest nielitościwa dla takich mężów stanu. Usuwa ich bez pardonu z widowni, jeżeli się sami w czas nie opamiętają. Nota polska ułatwia to lepsze wyjście premjerowi litewskiemu. Uniemożliwia dalsze wykręty i nową grę na zwłokę. Odpowiedź na nią może się wyrazić tylko albo w natychmiastowem podjęciu rokowań, albo w doprowadzeniu nieszczęśliwego kraju do zupełnej katastrofy. Liczymy, że pod tym względem nota min. Zaleskiego będzie miała dla Litwy dobroczynne skutki wychowawcze.

* * *

WALORYZACJA CEŁ stała się koniecznością wobec stałego wzrostu importu, któremu eksport nasz kroku dotrzymać nie może. Decyzja nie była łatwą. Zwlekano też z nią długo, co niechybnie wpływ pewien wywarło na dalsze pogorszenie bilansu, gdyż każdy zawczasu chciał sprowadzić większy zapas swego towaru. Wynikiem długich narad, rezultatem różnych stanowisk, był podział całego importu na trzy grupy. Grupę, na którą składają się artykuły konsumcji szerokich mas, pozostawiono przy obecnych cłach, szłusznie się obawiając. by wzmożona ochrona celna tych towarów nie obciążyła stopy życiowej warstw ubogiej ludności. W pełni zwaloryzowano natomiast stawki na artykuły zbytku, przyczem słowu temu nadano z konieczności dość szerokie znaczenie. O 72% podwyższono również cła na towary kilku młodych, szczególnej ochrony wymagających, gałęzi naszego przemysłu. Całą zaś resztę pozycyj przeliczono tylko o 30%. Znajdą się zapewne tacy, którzy orzekną, że grupy tej nie należało wcale waloryzować. Będą to ci sami, którzy, podnosili alarm największy o pasywny bilans handlowy i ci sami, którzy będą się się starali skorzystać ze sposobności, by wydatnie wyśrubować ceny...

* * *

MIASTA ANGIELSKIE ROZPOCZĘŁY ORYGINALNĄ KRUCJATĘ przeciw wszelkim przejawom militaryzmu, nawet w jego romantycznej postaci. Tępią bez litości pamiątki zwycięstwa w wojnie światowej. Zasługi dla ojczyzny i honor patrjotyczny widzą jedynie w zdobyczach pokojowych. Oto co czytamy w pismach angielskich. Rada miejska Manchesteru postanowiła usunąć z parków publicznych działa, tanki i inne trofea. Edynburg sprzedał swoje trofea z licytacji na cele dobroczynne. Aberdeen zatopił pamiątki wojenne w rzece, a port Norst England w morzu. Sheffield nie przyjął przyznanych mu przez władze nowych trofeów, a stare sprzedał na rzecz domu sierot. Birmingham przewiózł trofea do składów starego żelastwa. Ten wzruszający pacyfizm komunalny dziwnie się odbija na tle mocarstwowej potęgi Wielkiej Brytanji, której armaty i tanki są nieodłączonemi akcesorjami, a która nie gardzi kultem trofeów wojennych w kolonjach dla trzymania w postrachu podbitych ludów.

* * *

PACYFIZM MNIEJ EFEKTOWNY LECZ O GŁĘBOKIM PODKŁADZIE znalazł wyraz w potępieniu przez poważny odłam opinji angielskiej filmu „Dawa" (Swit), którego bohaterką jest słynna Miss Edith Cavell angielska siostra miłosierdzia, rozstrzelana przez Niemców w Belgji za rzekome uprawianie szpiegostwa. Rząd niemiecki zaprotestował przeciw wystawieniu tego filmu, twierdząc, iż jego treść przyczyni się do szerzenia uczuć nieprzyjaźni dla narodu niemieckiego. Sprawa ta jest przedmiotem dyskusji w prasie angielskiej, która naogół wypowiada się ostro przeciwko filmom, osnutym na tle wojny światowej. Miss Cavell jest postacią niemal świętą dla anglików, branie jej tragicznej śmierci za temat dla filmu, który może siać nienawiść między narodami, uważają jej czciciele za profanację — w tym duchu też wypowiedział się Sir Austin Chamberlain. w liście do reżysera filmu. Jednoczocześnie prasa angielska porusza mysl powołania do bytu specjalnej komisji pod egidą Ligi Narodów celem kontroli nad międzynarodową produkcją filmów i zwalczania w nich tendencyj szowinistycznych.

* * *

UGINAJĄCA SIĘ POD CIĘŻAREM DŁUGÓW EUROPA powojenna daremnie szuka dróg wyjścia z opresyj finansowych. Lwią część oszczędności europejski i sum wpływających do skarbca państw koalicyjnych od Niemiec pochłania nieubłagany wierzyciel Ameryka. Ostatnie sprawozdania amerykańskiego delegata reparacyjnego Parkera oraz żądanie Rzeszy ostatecznego określenia wysokości zobowiązań Niemiec z tytułu reparacyj, postawiły na porządku dziennym uregulowanie długów w jaknajbardziej radykalny, lecz i najmniej dotkliwy dla gospodarstwa Europy sposób. Znamienny jest w tym względzie projekt opracowany przez europejskiego przedstawiciela „New York Times'u Edwina L. Jamesa, który proponuje likwidację zadłużeń w najkrótszym czasie. W tym celu Rzesza Niemiecka winnaby wypuścić po dogodnym kursie obligacje kolejowe i przemysłowe na sumę 4-ch miljonów dolarów; niski kurs emisyjny umożliwiłby szybkie ulokowanie pożyczki niemieckiej, za którą osiągnąć możnaby conajmniej 3 miljardy dolarów. Zdaniem James'a, Stany Zjednoczone skreślą długi państw Entent'y wzamian tych 3 miljardów, otrzymanych w gotówce. Po uskutecznieniu przez

Niemcy takiej dopłaty na poczet reparacyj, resztę długów określoną przez dziennikarza na 5 miljardów dolarów, uiściłaby Rzesza w towarach na rzecz Francji i Belgji. Projekt amerykański posiada wiele zalet, jak określenie wysokości sumy reparacyjnej na 8 do 9 miljardów, natychmiastowe umorzenie długu amerykańskiego, ułatwienie Niemcom spłat przez świadczenia rzeczowe. Z drugiej jednak strony trudno uwierzyć, aby Niemcy zgodziły się na tak niski kurs emisyjny pożyczki, który pociągnąłby dla nich stratę 25 proc. kapitału, aby Ameryka umorzyła wszystkie długi państw koalicyjnych za 3 miljardy dolarów i — aby obligacje niemieckie na podobną kwotę znalazły chętnych nabywców. Z tych względów propozycję Edwina James'a uważać należy narazie za balon próbny, wypuszczony w celu wysondowania opinji europejskiej.

* * *

FRANCJA NIE ZREZYGNOWAŁA ze swych należności rosyjskich. Przewodniczący komisji dla rokowań z Z. S. S. R. de Monzie wysuwa propozycje francuskie w „Information Financiere". Przed wojną Rosja spłacała rocznie na amortyzację długu, swego względem Republiki Francuskiej wraz z odsetkami 400 miljonów franków. Jeśli uwzględnić straty terytorjalne b. Imperjum Rosyjskiego po wojnie, kwotę tę należałoby zredukować do 800 miljonów franków rocznie. Aby jednak uczynić propozycje francuskie możliwemi do przyjęcia i wykonania, de Monzie obniża ratę roczną do 80 miljonów franków w złocie, co przy obecnym stanie rozwoju gospodarczego Unji Sowieckiej nie stanowiłoby dla dłużnika trudności. Całkowita amortyzacja długu rosyjskiego wraz z procentami nastąpiłaby przez uiszczenie 62 rat rocznych po 60 miljonów. Strata, jakąby wskutek redukcji ponieść mieli francuscy posiadacze carskich obligacyj, zostałaby usunięta niemal zupełnie przez dopuszczenie do korzyści tylko przedwojennych posiadaczy walorów rosyjskich, z zupełnem pominięciem tych, którzy nabyli zobowiązania po wojnie. Związaną z regulacją długu rosyjskiego sprawę udzielenia Z. S. S. R. pożyczki towarowej, de Monzie łączy z gwarancjami, jakichby Sowiety mogły udzielić, oraz z koncesjami. przyrzeczonemi rządowi i przedsiębiorstwom francuskim. W pierwszym zaś rzędzie Francja nalegać będzie na zwrocie mienia francuskiego, skonfiskowanego w Rosji przez bolszewików. Tak wyglądają propozycje francuskie. Niewątpliwie Sowiety będą je uważały za zbyt wygórowane. Jeśli jednak Z. S. S. R. zechce utrzymać dobre stosunki z Francją, na czem Sowietom po zerwaniu z Anglją bardziej, niż kiedykolwiek, zależy, jeśli dalej Moskwa będzie dążyła do uzyskania większej pożyczki na cele gospodarcze, do kompromisu w sprawie długów przedwojennych może dojdzie tem łatwiej iż zasadniczo Sowiety zgodziły się je uznać.

* * *

WIELKIE PRZESILENIE GROZI PRZEMYSŁOWI NIEMIECKIEMU z dniem 22 lutego. Wszystkie fabryki przemysłu metalowego zamykają swe podwoje. Na mocy decyzji związku fabrykantów wytwórnie maszyn, narzędzi, elektrotechniczne, stocznie i t. p. wymówiły pracę wszystkim robotnikom. Jeśli rząd Rzeszy nie zaradzi, 800 tysięcy robotników pozostanie od środy bez pracy, z tej liczby na sam tylko Berlin przypada 200000. Pracodawcy uzasadniają ogłoszenie lokautu niepomiernym wzrostem płac w porównaniu z zyskami fabryk metalowych, które z 11—12% przed wojną spadły do 1—1½% w latach 1925 i 1926, przyczem trzy czwarte fabryk metalowych nie wypłacały ostatnio żadnej dywidendy. Trwający od kilku tygodni strajk metalowców w Niemczech środkowych—rozchodzi się o 15 fenigów podwyżki na godzinę — wywołał lokaut częściowy, który obecnie obejmuje całą Rzeszę. Przemysłowcy mają na celu nie tylko złamanie oporu strajkujących, lecz zerwanie umów zbiorowych, które uważają za zbyt krępujące dla przemysłu metalowego, oraz obniżenia płac. Gdyby do ogłoszenia lokautu doszło, byłby to jeden z najpoważniejszych, po strajku górników angielskich, epizodów w dziejach powojennych zmagań kapitału z pracą.

NĘDZA DZIECI W ROSJI SOWIECKIEJ

Rozpaczliwa nędza dzieci bezdomnych w Rosji Sowieckiej wzrusza coraz głębiej opinję światową; prasa bolszewicka nie robi tajemnicy z tego, co jak sama przyznaje jest „krwawiącą raną", nie ukrywa jak daleka od pięknych teoryj nowożytnej pedagogiki jest straszna rzeczywistość, oraz niemoc rządu wobec klęski, trwającej już całe lata. Plony dziesięciu lat krwawych rządów są równie straszne jakim był posiew.

Artykuły w prasie francuskiej, pomimo, że są oparte przeważnie na materjałach czerpanych z prasy sowieckiej, grzeszą niekiedy brakiem dokładności, co podrywa zaufanie do podawanych informacyj. Emigracyjnej prasie rosyjskiej trudno się zdobyć na bezstronność, każda zaś przesada szkodzi wiarogodności pisma. Absolutnie rzeczową dokumentacją i bardzo ścisłemi danemi odznacza się tygodniowy biuletyn wydawany przez Rosjan po francusku p. t. „La Russie Opprimée". Celem jego jest informowanie zagranicy o rzeczywistym stanie rzeczy, na podstawie pism sowieckich i wrażeń naocznych świadków. Korzystamy z ostatniego n-ru biuletynu, aby podać kilka świeżych szczegółów o nędzy dziecięcej w Rosji:

Klęskę tak zwanych „biezprizornych" dzieci trudno słowami opisać. W łachmanach, zagłodzone, włóczą się biedne ofiary po ulicach wielkich miast, szczególnie Moskwy, czatując jak małe drapieżniki na swoją zdobycz. Proszą o jałmużnę na głównych ulicach, ale w ciemnych zaułkach przedmieść są zawsze gotowe ograbić samotnego przechodnia. Bez domu, żyją po kątach na śmietnikach, w zrujnowanych domach, w opuszczonych suterenach, na noc zbierają się w wielkich kotłach jeszcze ciepłych, w których się za dnia grzał asfalt. Są to mali, ale już zorganizowani zbrodniarze, uliczni zbóje w przyszłości. Wielu z nich to alkoholicy, morfiniści i kokainiści, wielu zarażonych najgorszemi chorobami stanowi niebezpieczeństwo dla społeczeństwa;

dziewczynki oddają się prostytucji począwszy od 8-go roku zycia.

Kim są te opuszczone dzieci?

„Po większej części są one dziećmi robotników i włościan, dzieci innego pochodzenia stanowią mniej niż 1% ogółu". Oto co powiada oficjalny raport w tej sprawie z 1926 roku.

Dzieci opuszczone to jedna z charakterystycznych cech wielkich miast Rosji obecnej, niestety, spotykamy je nietylko w miastach. To prawdziwie cała „Rosja błądząca i wędrowna" i można zauwaważyć perjodyczne egzody tych małych oberwańców.

„Za ukazaniem się pierwszych promieni wiosennego słońca, pisze moskiewska gazeta „Trud", jak tylko sniegi zaczynają topnieć, a na południu zielenieją już drzewa i łąki, wszystkie koleje żelazne ogarnięte są przez bandy wynędzniałych, złachmanionych dzieci. Lokują się one jako tako pod wagonami, na platformach, skrzyniach i na buforach, wszędzie, gdzie tylko mogą się zmieścić ich wychudzone ciała — i jadą tam, gdzie ciepło, gdzie można kraść owoce z sadu nie narażając się na areszt, gdzie jest co zjeść.

Na jesieni z pierwszemi deszczami bandy te wracają do miast, żeby się ogrzać w jakiejś bramie przypadkowo zostawionej otworem, w kotłach po asfalcie, lub w skrzyni na śmiecie..."

Ile jest tych dzieci?

Wdowa po Leninie, p. Krupska, pisała w 1923 roku w „Prawdzie" (№ 51):

„Zarejestrowanych jest u nas do 7 miljonów opuszczonych dzieci, wówczas gdy dziecięce przytułki przygarnęły najwyżej 800 tys. Gdzie więc jest reszta? Za mało się o nich myśli, za mało dba o zapobieżenie klęsce. Czyż jesteśmy do tego stopnia ograniczeni, że nie umiemy nic innego powiedzieć tym nieszczęśliwym jak te śmieszne słowa: Wróćcie do waszych rodziców lub do przytułków? Każdy z nas wie jednak, że one nie mają rodziców, jak też, że dla nich niema przytułków.

Tak więc 7 milj. spisanych, a z końcem 1923 roku Krupska obliczała ich liczbę na 8 milj. Było to, co prawda, nazajutrz po strasznej klęsce głodowej z lat 1921-22, która liczyła miljony ofiar, a jednak prof. Poznyszew, który pisał o tem zagadnieniu w 1926 roku w Moskwie utrzymuje, ze te cyfry podane w 1923 r. nie mogły ulec znacznej zmianie. Rzecz prosta, że obecnie oficjalne statystyki sowieckie nie przyznają się do tych liczb; w 1926 r. powiadają, że jest tych dzieci 400 tys., a w 1927 r. podają cyfrę 334 tys. Należy jednak się zastanowić, powiada „Rosja Pognębiona", czy nie są tu jedynie uwzględnione dzieci zgromadzone w przytułkach, a przemilczane te tysiące, które się błąkają po ulicach, a także, czy ankieta stosuje się do całej Rosji, czy tylko do części jej terytorjów?

Zresztą nie można w żadnym razie opierać się z pewnością na statystykach Rosji Sowieckiej przeprowadzonych niedokładnie i całkiem dowolnie. Oczywiście w samej Rosji są ludzie, których wzrusza ta niesłychana w dziejach cywilizacji klęska i wołają od czasu do czasu na alarm. Są zwoływane wówczas kongresy i konferencje, organizowane składki i „tygodnie" ratunkowe, ale wszystkie te sposoby nie przynoszą rozwiązania, jak nie mniej kordony sanitarne wokół Moskwy, nocne obławy i areszty, gdzie sobie milicja poczyna z dziećmi jak z bandą psów wściekłych.

Ilość przytułków zmniejsza się z powodu braku środków materjalnych, tem samem rosną bandy włóczęgów.

„Już nieraz oczyszczano ulice Moskwy, ale napróżno, powiada z rozpaczą pani Kalinina, żona prezydenta WCIK'a w Prawdzie" z 2/V.27 r., błąkające się dzieci spotykamy nadal na każdym rogu ulicy, to prawdziwy koszmar, bo nowe jeszcze bandy nieustannie napływają..."

Rząd bolszewicki kilkakrotnie oświadczał bez ogródek, że nie jest w stanie podołać tej klęsce, a przecie rzesze włóczęgów to w przyszłości bandy rozbójnicze, które będą poważnie zagrażały bezpieczeństwu krajowemu, o ile śmierć i choroby różnego rodzaju ich nie zdziesiątkuje, na co prawdopodobnie liczą władze...

Równie ponure są obrazy z domów wychowawczych i przytułków, gdzie tysiące innych istot wegetuje w okropnych warunkach materjalnych, sanitarnych i moralnych niedokarmione i brutalizowane. „Kosmolskaja Prawda" z 22/I b. r. podaje opis buntu dzieci z przytułku, zwanym „Życie Pracy" i mieszczącym się w dawnym pałacu hr. Uwarowa. Obawiając się, że na skutek samowoli zostaną uwięzione, dzieci splondrowały cały budynek, bijąc setki szyb, niszcząc gabinet fizyczny i bibljotekę.

Autor tego sprawozdania w „Kosmolskiej Prawdzie" kończy swój artykuł w te słowa:

„Obietnice niedotrzymane, bezduszne kierownictwo, nieznajomość pedagogji — to fakty, które się za często u nas powtarzają, konsekwencje tego są przerażające. Należy spojrzeć dalej jeszcze niż grób domu „Życie Pracy", a zobaczymy wiele innych domów dziecięcych podobnych".

Paryż, w lutym *M. Czapska.*

POLSKA NA WYSTAWIE TURYSTYCZNEJ W CHICAGO.

Nie chciałbym zaczynać od truizmu, że znajomość Polski i jej spraw jest na szerokim świecie do tej pory minimalna, a jednak muszę to uczynić w celu uwidocznienia i uwypuklenia tego ogromu pracy informacyjnej, jaka nas czeka jeżeli pragniemy, aby Polska przestała być jakąś wielką niewiadomą, aby ją poznano i zaczęto tak oceniać jak na to ze wszech miar zasłuje.

Jednem z szczęśliwie i pomyślnie przeprowadzonych przedsięwzięć informacyjnych o Polsce i jej na uwagę zasługujących zasobach naturalnych była Wystawa Turystyczna w Chicago, którą śmiało zaliczyć możemy do naszych niezaprzeczonych sukcesów na większą skalę.

W czasie od d. 21 do dnia 26 listopada ubiegłego roku odbyła się w Chicago Międzynarodowa

Wystawa Turystyczna (International Travel Exposition), w której i Rząd polski zgłosił swój udział. Urządzeniem wystawy zajął się nasz Konsulat Generalny, który wywiązał się ze swego zadania w sposób najwyższego uznania godny, w czem lwia część zasługi spada na samego Konsula Generalnego dr. Zdzisława Kurnikowskiego, znanego zresztą ze swej energji zarówno jak i umiejętnej służby dla dobra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

W konferencji odbytej w Min. Robót Publicznych w Warszawie obok Konsula Kurnikowskiego uczestniczył p. L. Kotnowski, prezes Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Warszawiej jako też Mr. Eric Lord, sekretarz Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Nowym-Jorku, której II sekretarz p. T. Hoinko również swą rzetelną i niestrudzoną pracą przyczynił się wiele do podzenia tego tak ważnego dla Polski przedsięwzięcia.

Jeżeli dodamy do tego współudział M. C. Zachariasa i K. Piątkiewicza, z których pierwszy jest prezesem a drugi sekretarzem Chicago Polish Chamber of Commerce (Polskiej Izby Handlowej w Chicago), wreszcie poparcie pierwszorzędnych polskich sił miejscowych w urządzeniu tak zwanego Dnia Polskiego, który spotkał się również z poparciem polskiej prasy, to zrozumiemy powodzenie, jakiem zostało uwieńczone to dzieło polskiej pracy informacyjnej.

W kraju, w którym „wszechmocny dolar“ tak poważną odegrywa rolę, silnym argumentem na korzyść Polski był fakt przyznany przez sam zarząd wystawy, że „Dzień Polski“ i tłumy publiczności uratowały zarząd od dotkliwego deficytu i spowodowały, że zarząd wystawy tegorocznej nosi się z zamiarem zorganizowania ponownej wystawy i w roku przyszłym dając zapewnienie Konsulatowi Generalnemu, że na zasadzie doświadczenia tego postara się zarezerwować Polsce jak najdalej idące ustępstwa, udogodnienia i ułatwienia.

Kiosk polski, na który zarząd wystawy odstąpił miejsce bezpłatnie, został pomieszczony w środku sali w przejściu do Hali z panoramami a więc w miejscu rzucającem się w oczy: ponieważ atoli ilość nadesłanych eksponatów była tak wielka, że byłaby lekko zapełniła pięć takich kiosków, jakie Konsulat pierwotnie zamówił, przeto okazała się potrzeba uzyskania dodatkowego miejsca co się też bez trudu dało uzyskać, tak że Polska obok kiosku rozporządzała ścianą zaraz przy wejściu wprost ze schodów, jedną ścianą z obrazami i drugą z mapami jakoteż w hali panoram obrazem panoramicznym, przedstawiającym Wawel. Odpowiednie napisy orjentacyjne oraz informacyjne objaśniały dostatecznie zwiedzających, którzy polskich eksponatów przeoczyć nie mogli. W kiosku pełniły dyżury studentki uniwersytetów czykagoskich w polskich strojach ludowych.

W kiosku polskim znajdowały się publikacje nadesłane z kraju, z których niektóre przedstawiały się bardzo powabnie; z Nowego Jorku dostarczono 500 egzemplarzy specjalnego turystycznego numeru miesięcznika „Poland“, które rozdawano darmo, Wśród wydawnictw, nadesłanych z kraju, z pochwałą spotkał się „Przewodnik po Polsce“ w języku angielskim i polskim, którego tysiąc egzemplarzy otrzymał konsulat do rozpowszechnienia. Drugiego tak wytwornie wydanego i tak bogatego przewodnika na wystawie wogóle nie było w żadnym kiosku, to też uczynił on wielkie na zwiedzających wrażenie, czego dowodem między innemi fakt, że ciągle napływają prośby z różnych biur turystycznych i instytucyj amerykańskich, od redakcyj dzienników amerykańskich i osób prywatnych o dostarczenie tego polskiego przewodnika, wreszcie fakt, że konsul jugosłowiański wziął jeden egzemplarz polski i jeden angielski w celu przesłania go jako wzoru swym władzom krajowym.

Co do „Dnia Polskiego“ to przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż konsulowi udało się uzyskać dzień 24 listopada, to znaczy amerykański dzień świąteczny: Dzień Dziękczynienia, co już samo było ważnym warunkiem powodzenia, to też polacy osiągnęli rekord, bo kasa sprzedała około 6,000 biletów. Miało to jeszcze obok moralnego i materjalne znaczenie, ponieważ zarząd wystawy zgodził się na to, aby od biletów sprzedanych przez specjalnie ustawione kasy polskie, komitet zabrał sobie pewien procent, co umożliwiło pokrycie dość dużych z urządzeniem wystawy i Dnia Polskiego połączonych kosztów. Znacznych rozmiarów panoramę Wawelu wykonał zarząd wystawy własnym kosztem,

Na program „Dnia Polskiego“ obok obrazów ruchomych, nadesłanych z kraju, złożyły się polskie piosnki ludowe, żołnierskie i klasyczne, dalej polskie tańce narodowe, specjalne tańce góralskie, śpiewy solowe i chóralne, produkcje fortepianowe i skrzypcowe i t. d. Po wyczerpaniu programu tańczono prawie do rana i cieszono się z osiągniętego sukcesu, który wywarł bardzo poważny wpływ przedewszystkiem do Polaków samych, podnosząc ich na duchu i napawając ich dumą narodową.

Tłumny udział wychodźtwa polskiego w „Dniu Polskim“ wykazał z jednej strony wobec społeczeństwa amerykańskiego i innych narodowości, a szczególniej licznie tu osiadłych Niemców, potężną siłę liczebną, z drugiej zaś sprawną organizację, która zdołała w stosunkowo krótkim czasie zebrać tak pokaźną liczbę osób, co nie jest pozbawione doniosłości pod względem ukształtowania się miejscowych stosunków politycznych.

Należy również podkreślić okoliczności, ze urządzenie wystawy i „Dnia Polskiego“ wysunęło na widnokrąg Amerykańsko-Polską Izbę Handlowo-Przemysłową w Warszawie, takąż Izbę w Nowym-Jorku, wreszcie Chicago Polish Chamber of Comerce w Czicago, co poważne posiada znaczenie.

Wojciech Szukiewicz.

Zegluga śródlądowa.

Na wysoko uprzemysłowionym Górnym Śląsku poczyna się objawiać ruch niezmiernie ciekawy, ruch zmierzający ku wykorzystaniu Przemszy dla celów żeglugowych. Praktyczny Górnoślązak, rozumiejąc doskonale, że musi zaopatrywać w węgiel nie tylko zagranicę, ale i kraj własny, kraj posiadający niezmiernie rzadką sieć komunikacyjną, że z drugiej strony podstawą aprowizacji jego musi być Sandomierskie, Pinczowskie, Miechowskie i inne powiaty położone nad Wisłą, nie czeka na inicjatywę z góry i przystępuje do działania. Skonstruowane zostały specjalne statki o znacznej pojemności stosunkowo i wysłano je z węglem po Przemszy i Wiśle, a statki z powrotem zabrały płody ziemi. Sprawa się opłaciła. Prawda, drogi wodne z największą trudnością konkurowałyby z dumpingowemi taryfami kolejowemi do naszych portów, ale wytrzymują i zwyciężają w konkurencyjnej walce jeżeli chodzi o frachty wewnętrzne nawet w dziedzinie węglowej.

W ten sposób Śląsk powoli, ale stanowczo poczyna przebijać drogę z biegiem rzeki Wisły, drogę zupełnie naturalną, drogę, którą dziwnym zbiegiem okoliczności zostawiliśmy w stanie prawie zupełnej nieużywalności. Rzecz oczywista, że po próbach z drobnym tonażem rozpoczną się próby z większym i może ta interwencja Śląska wpłynie na wysanowanie sprawy żeglugi wiślanej, która dziś jest w stanie wprost skandalicznym. A warte to jest tembardziej zastanowienia, że rząd jest bardzo poważnie zaangażowany w największem przedsiębiorstwie żeglugowem, Zjednoczonem Towarzystwie Żeglugi i Transportu. Musimy sobie zdać sprawę, że towarzystwo to stoi nad brzegiem ruiny, że oparte jest na tak kruchych i niepewnych podstawach, iż każde zdrowo poprowadzone przedsiębiorstwo położy je— skoro tylko powstanie — na obie łopatki.

Towarzystwo to zadłużone jest w Banku Gospodarstwa Krajowego po same uszy i jeśli dziś pracuje, to bynajmniej nie na inwestycje niezmiernie potrzebne, ale na zapłacenie procentów. Wobec bardzo słabej konkurencji może ono od czasu do czasu zdobyć się na jakiś stateczek, ale z natury rzeczy skazane jest na łataninę nieracjonalną gospodarczo, nieracjonalną też i technicznie.

Po Wiśle pływają dziś parowce, które są właściwie mówiąc, wysortowanym bruchtem niemieckim. Nowe robi się w ten sposób, że z resztek kadłubów na złom kupowanych, sztukuje się coś nowego —na długość przystosowanego do wąskich, a głębokich kanałów niemieckich, ale niezmiernie niepraktycznego na szerokiej, lecz płytkiej Wiśle.

Wszystko to, jak powiadamy, byłoby rzeczą względnie obojętną, gdyby nie fakt, że rząd zaangażował się w sprawy żeglugi materjalnie, że straty na tem polu poniesione. będą bezpośredniemi stratami Państwa i gdyby nie okoliczność trzecia, niezmiernie ważna. Oto każde nowe przedsiębiorstwo żeglugowe, z natury rzeczy będzie musiało oprzeć się o wytwórczość żeglugową nie rodzimą, lecz tę, która mu zapewni lepsze warunki kredytu. Prawdopodobnie więc o stocznie niemieckie, albo jeszcze dogodniejsze holenderskie. W ten sposób przemysł ten u nas, bardzo młody i bardzo jeszcze niewyrobiony spotka się z konkurencją niezmiernie ciężką, a powiedzmy odrazu, zabójczą, walka z którą będzie niezmiernie utrudniona ze względów gospodarczo przewozowych, będzie bowiem powodowała drożyznę przewozu, a co za tem idzie i drożyznę ogólną.

Piszemy to wszystko, aby zwrócić uwagę, zarówno czynników społecznych, jak i rządowych na zagadnienie pierwszorzędnej doniosłości dla naszego życia gospodarczego, dla naszej przyszłości, dla stanu gotowości obronnej Państwa. Dziś rzeczy te są lekceważone, zarówno przez resort, do którego należą, jak i przez instytucje finansowe, przez które są podtrzymywane. Mówimy, lekceważone, gdyż kwestja wysanowania żeglugi wiślanej to sprawa paru miljonów, któreby nie zaciążyły ani na budżecie Państwa, ani na zasobach Banku Gospodarstwa Krajowego.

A. Uziembło.

Z wielkiej chmury — wcale niema deszczu.

(*Reforma programów nauczania w szkołach powszechnych*).

Wprawdzie nauczanie w szkołach powszechnych nie wszystkich zajmuje, gdy jednak artykułem niniejszym zainteresują się oprócz nauczycielstwa i władz szkolnych — także rodzice dzieci szkolnych—cel będzie osiągnięty.

Społeczeństwo nasze w stosunku do szkoły i jej zagadnień, idzie utartą, najwygodniejszą drogą t. zn. poza wpisaniem i posyłaniem dzieci do szkoły, nie troszczy się o to, co się z temi dziećmi w szkole dzieje. Troskę tę pozostawiono zupełnie nauczycielstwu.

Niektórzy tylko z obywateli zdziwieni są, gdy mimowoli mają sposobność zetknięcia się z nową metodą nauczania, niejedni kręcą głowami gdy widzą, że uczniowie mogą chodzić do szkoły bez podręczników a nauczyciel dźwiga cały stos książek i notatek, (bo musi być do każdej lekcji przygotowany), najwięcej zdaje się odczuwają nowy system nauczania ci, którzy mając kilkoro dzieci w szkole, muszą co roku kupować nowe, po drogich cenach książki, bo jeżeli nie co roku, to najwyżej po kilku latach podręczniki szkolne są zmieniane.

Jeżeli zaś społeczeństwo nie bardzo troszczy się o sposób nauczania w szkole, to jednak nie przestaje okazywać niezadowolenia ze szkoły. Narzekania słuszne, tylko pod niewłaściwym adresem skierowane, bo nie nauczycielstwo winne — że tak się teraz w szkole uczy—lecz system ujęty formą programów ministerjalnych.

Wprawdzie nauczycielstwo z troski o przysposobienie jak najlepszych obywateli państwa stworzyło ten nowy system nauczania, ale jak zwy-

kle u nas bywa, inicjatywa wyszła od jednych, formę nadali przy zielonych stolikach inni—i rzecz mimo najlepszych chęci inicjatorów — wyszła spaczona.

Stąd też po kilku latach nauczania zebrała się z powodu nowych programów potężna chmura, która wywołała wielką burzę na zjeździe nauczycielskim w r. 1926. Wiele papieru i wiele czasu poświęcono wówczas programom nie tylko na zjeździe ale też i w prasie, wtedy też wielokrotnie stwierdzono, że programy dla szkół powszechnych—są nie odpowiednie.

Rzecz naturalna, że jeżeli zgodzono się na takie twierdzenie, to konsekwencją było postanowienie, jaknajszybszej zmiany obecnego systemu nauczania.

Uchwały zjazdu oraz przyrzeczenie władz szkolnych przychylnie odnoszących się do reformy wspomnianych programów, przedewszystkiem nauczycielstwo przyjęło z wielką radością nie dlatego — żeby się chciało uchylać od ciężkiej pracy, lecz chcąc widzieć pracę swą skuteczną.

Jeżeli nauczycielstwo tak pragnęło tej zmiany, to dlatego — by nie czuło się winnem wobec znanego zarzutu że: „ze szkół porobiono uniwersytety, a do uniwersytetu przychodzi młodzież nieprzygotowana".

Sprawą zmiany programów zajął się Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Pow. Nauczycielstwo zaś, znając niespożytą energję Głównego Zarządu Zw. P. N. S. P. przejawianą zawsze, gdy chodziło o przeprowadzenie jakichś postulatów w związku ze szkolnictwem, żywiło całą nadzieję — w rychłe załatwienie zmiany.

Niestety! Tym razem poczynanie Głównego Zarządu Zw. P. N. S. P. zakrawa na kunktatorstwo, bo na zmianę czekamy prawie półtora roku— ale daremnie.

Wiemy, że Zarząd Główny i w tym kierunku wiele robi, ale akcję zakrojono na tak szeroką skalę, że przez półtora roku prawie — zbiera się, bada i rozważa projekty, zwołuje się posiedzenia i konferencje, debatuje się i dyskutuje—zamiast— przynajmniej na razie, zachować programy z ich zaletami, a usunąć wady.

Gdy bowiem zechcemy zmianę programów uskutecznić na podstawie wyników nowych eksperymentów, chociażby nawet tak obiecujących—jak projekt prof. Znamieckiego, to deszcz z wielkiej chmury nie prędko jeszcze spadnie.

W takim razie długo jeszcze spotykać będzie nas zarzut, że uczymy w szkole powszechnej „filozofji"— a dzieci nic nie umieją i długo jeszcze prześladować będzie nauczycielstwo pierwsze pytanie przy wizytacji: „Czy materjał naukowy wyczerpany"? a materjał ten—to programy „od deski do deski"

Karol Niemczyk.
nauczyciel

Bohorodczany 1928 r.

Z zagonów życia i śmierci.*)

Tytuł feljetonu nie mój. Wzięty z niewielkiej, skromnej książeczki, zawierającej poezje Stanisława Falkiewicza, wydane dawno, lat temu prawie dziesięć. Wydane w czasie, kiedy zagonami życia i śmierci gnał człowiek, w straszliwą wojnę wtrącony, kiedy dymiły się gruzem betonu Verdun i kiedy bezdomny żołnierz polski dalekie przemierzał strony, nie mając w rodzinnym kraju schronienia.

I dlatego piękne, pisane w czas biwaku krótkiego, po znojnym boju, poezje legjonisty Falkiewicza bez niczyjej przeszły w Polsce uwagi, choć długo jeszcze po zagonach życia i śmierci szedł utrudzony żołnierz.

Acz tedy bez zgody autora, acz nieprawnie— wziąłem tytuł jego poezyj, gdyż dziwnie blisko łączą się z tematem w tej chwili poruszanym, dziwnie kojarzy się ów tytuł z dwiema książkami: Porwita — Nauką o powinnościach żołnierza i Żarnowieckiego powieścią z czasów przyszłych.

Uczy żołnierskiej śmierci książka majora Porwita — jakkolwiek jej celem jest — życie żołnierza, życie żołnierza odrodzonej Polski. Jest to podręcznik. Podręcznik, mający służyć instruktorom i wychowawcom żołnierza, podręcznik, w którym cały szereg gawęd, pogadanek, a jak je autor nazywa „nauk", ujmuje całkowite, proste, niepozorne a jakże głębokie powołanie żołnierskie. Osiemnaście nauk, w których zawarto wszystko, co żołnierz-obywatel, żołnierz odrodzonej ojczyzny winien wiedzieć, winien znać i kochać. Powołanie stanu żołnierskiego. Ojczyzna, Rzeczpospolita. O miłości Ojczyzny. Żołnierska miłość ojczyzny i wierność żołnierska. Honor żołnierski. Wewnętrzna siła wojska, Karność. Wytrwanie. Koleżeństwo — oto część z nagłówków danym „naukom", oto istotne i głębokie prawdy życia żołnierskiego, których obywatel powołany do wojskowej służby nie może nie znać, nie może głęboko się z niemi nie zżyć.

Jakkolwiek książka majora Porwita, której drugie wydanie świadczy o cennych walorach zawartych w niej — przeznaczona jest przedewszystkiem dla oficerów - instruktorów, niemniej każdy dla kogo nieobojętnem jest wychowanie setek tysięcy młodzieńców, odsługujących lata służby wojskowej — winien się z książką tą zapoznać. Bije z niej nietylko wielki urok prostoty, przebija nietylko surowość oblicza żołnierza, biorącego broń do ręki, by kiedyś może z bronią tą w ręku zginąć, nietylko głęboki most wielkiej pracy odbywanej dziś w wojsku — lecz przedewszystkiem przebija się przez karty książki, wije się niby czerwona nić, uderza dzwonem serca nieulękłego: wielka spokojna, surowa a nieznana dla wielu, którzy płyciznę swych sądów do problemu wojska przy-

*) Mjr. S. G. Marjan Porwit. Nauka o powinnościach żołnierza. Wydanie drugie. Warszawa 1927. Główna Księgarnia Wojskowa.

Bolesław Żarnowiecki. Rok 1975, Powieść z czasów przyszłych. Dwa tomy. Nakładem Pomorskiej Drukarni rolniczej. Toruń 1927.

krawają — piękna i wzniosła droga: żołnierskiego poświęcenia.

Ten szlachetny, rycerski ton wydobywa autor nietylko prostotą a więc i pięknem swego języka. Wydobywa go przedewszystkiem zbiorem przepięknych przykładów, wzorem żołnierskich cnót.

Jest tych przykładów w książce równa setka. Podane są i zilustrowane niemi poszczególne nauki, zebrane z czasów dawnych, a nadewszystko z czasów ostatniej wojny polsko-rosyjskiej. Suche, lakoniczne słowa tych przykładów płoną, płoną jak pochodnie.

„Ppor. Robaszkiewicz, d-ca plutonu 60 p. legj., podkładając pod Kijowem własnoręcznie minę pod szyny kolejowe, znalazł się pomiędzy dwiema pancerkami nieprzyjacielskiemi. Widząc, że grozi mu dostanie się do niewoli, po zapaleniu miny dobrowolnie stanął na miejscu wybuchu — składając w ten sposób swe życie w ofierze".

„Sierzant Ruciński z 2 komp. 40 p. p. w czasie zaatakowania kompanji przez kawalerję Budiennego, otoczony został przez kilkudziesięciu nieprzyjaciół. Nie chcąc się oddać żywcem w ręce wroga, zajął stanowisko koło przydrożnego krzyża, otoczonego drzewami i bronił się do ostatniego naboju, aż w końcu rozniesiony został na szablach".

Takiemi to przykładami, po zagonach śmierci żołnierskiej przeprowadzonemi wiedzie autor czytelnika, na rodzajnej glebie poświęcenia krzewiąc nie nowe, proste i zawsze wieczne prawdy życia, życia wojska.

Z tego życia, takiego, jakiem chce widzieć wśród polskich żołnierzy major Porwit — z gliny, przez to życie urobionej, z posiewu bujnego i bogatego wydziera swych bohaterów Żarnowiecki w swej powieści o przyszłej wojnie między Polską i Czechami z jednej a Niemcami ze strony drugiej.

Rzuca nam straszliwe w swej grozie obrazy tej wojny. Wnet, na pierwszych stronicach książki, daje nocny najazd lotniczy na Poznań. Wprowadza setki, tysiące huczących maszyn nad zamarłe, kirem czarnej nocy, bez jednego światła, miasto. Realistycznym rysunkiem słowa rzuca tłumem, rzuca masą żołnierza.

Bohaterowie powieści żołnierskiej Żarnowieckiego — to owoc śmierci sierżantów Rucińskiego i podporucznika Robaszkiewicza. Lotnicy, kanonierzy, żołnierze piechoty u Żarnowieckiego w ekstazie spełniającej swą służbę — nie są dlań wyjątkami. Żarem, płomieniem poświęcenia przejęte jest całe wojsko, straszliwa jego masa. Stąd wyprowadza autor świetnie przedstawiony heroiczny czyn garstki polskich lotników, która w głuchej nocy, zwaliwszy aparat prowadzącego eskadrę niemiecką, sama prowadzi ją na ścianę gazów.

Opisy tej wojny przyszłej budzą grozę ale zarazem i podziw. Jeśli autorowi brak to tu, to ówdzie linji dramatycznej, wiążącej się z osobą głównego bohatera i z osobą bohaterki, jeśli wplecenie ich w głębokie przeżycia duchowe, w przeżycia miłości jest często przypadkowym rysunkiem to tylko i jedynie dlatego, że całą siłę wyrazu, całą energję swego talentu włożył autor w przepyszne opisy wojny. Wojny, która mrozi krew w żyłach.

Prace Żarnowieckiego, rok 1974 i 1975, acz rozchodzą się w wielu tysiącach, nie zostały objęte uwagą naszych recenzentów. Niewiadomo gdzie tkwi tego przyczyna. Czy zwykła kolej losu polskiego autora, który latami całemi przebijać się musi przez gąszcze obojętności, czy temat, który obrał autor, temat, którego bohaterem głównym jest wojna.

Jakiekolwiek byłyby przyczyny, na zagonach życia i śmierci, wojny, przedstawionej przez Żarnowieckiego słowem, któregoby się nie powstydził niejeden z naszych o ustalonej sławie powieściopisarzy — wyrasta nowy, nieprzeciętny talent, którego debiut zapowiada bardzo wiele, którego twórcza praca niejedną jeszcze może nam sprawić niespodziankę.

Dr. Wacław Lipiński.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO.

Rewindykacja wartości dnia powszedniego.

Juljusz Kaden-Bandrowski. „Nad brzegiem wielkiej rzeki", nakł. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Nad brzegiem wielkiej rzeki siedzą dwaj chłopcy: jeden pisze, drugi trzyma klepsydrę, w której przesypuje się piasek życia.

Rzeka toczy się z bezkresu w bezkres. Jest w tem melancholja.

W pogodnej i dziwnie prostej książce Kadena snuje się nić głębokiej, bolesnej melancholji. Tonem przedwczesnego znużenia i wiedzy ludzkich spraw mówi do synów — do młodych — do ludzi — o własnem dzieciństwie.

Mówi wyrazami prostemi o rzeczach najprostszych, odnajdując dla nich istotne i ważne miejsce w biegu życia.

Fantastycznym, wyobrażanym wydarzeniom, niezwykłym konfliktom, zachwytom i rozpaczom dawnych romantycznych opowieści—przeciwstawia zwykły tok dni, życie powszednie, wczoraj jeszcze

tak dumnie pogardzane i *niedostrzegane* przez pisarzy i przez samych jego aktorów. „Tysiąc dni powszednich składa się na jeden dzień wielki, tysiąc małych wydarzeń na jedno ogromne",—każdy dzień jest ważny; należy go tylko zrozumieć i widzieć. Posiada on głębię i z niego bierze początek wielkość duszy. Że splotu spraw jakgdyby nic nieznaczących kształtuje się przyszłość. Sposób ich *przeżywania* staje się jej miarą i zapowiedzią.

Takiem jest moralne credo tej niewielkiej książeczki, wypowiedziane przez autora we wstępie, stanowiącym nieco staroświecką, nieco mentorską przygrywkę do pięciu opowiadań. „Patrząc na te wydarzenia, które nikłemi falami plotą się w nieprzerwaną ciągłość, czyż nie stoisz, jakgdyby nad brzegiem *wielkiej rzeki*, zapatrzony w światła przedziwne, zasłuchany w jej szmery urocze?"

Sens dydaktyczny, wyraźnie przez autora zaznaczony, w opowiadaniach samych zanika i ustępuje miejsca żywej akcji, układającej się z szeregu rodzajowych, drobnych, kapitalnych obrazków—sens ten wypływa jednak na powierzchnię w zakończeniu każdej opowieści, tworząc jej liryczną syntezę.

Zakończenia te są prawie jedynemi momentami subjektywizmu w rzeczowych tych utworach. Wzruszenie jest tu oszczędne i opanowane. Lecz, że rzeczy te pisane są „od siebie", jako wspomnienia, ich ukryta emocjonalność, udziela się czytającemu. I ten ton smutku, na który zapewne wrażliwi jesteśmy tylko my, dorośli, słyszący szmer przesypujących się w klepsydrze ziarnek czasu.

Dzieci, synowie Kadena — brać z niej będą samą żywą bliską konkretność.

Kaden używa tu języka powszechnej dostępności. Trzyma na wodzy słowo. Nie sugestjonuje czytelnikowi rozedrgania uczuciowego, przepuszcza stany emocjonalne przez filtr świadomego wyboru. Więc szczegóły i drobiazgi składają się na tło, z którego wykwita wewnętrzna, psychiczna barwa wydarzenia. Uczucia rodzą się tutaj, rzec-by można, nie z muzycznego splatania się słów, lecz z ich plastycznej wartości obrazowania.

Takie np. wyrażenie, jak „listopad za pasem" wywołuje u Kadena obraz: „Dotąd ile razy widzę czarne gałęzie na przygasłem niebie rozpostarte, słyszę słowa (Matki): „listopad za pasem" („Zabawa wojsko").

Z przeglądania starego świadectwa szkolnego powstaje świetnie zbudowana, niby dłutem wyrznięta, nowela: „Dokument". Prostota jej stylu jest lekka, dająca bezpośredniość wrażeń i reakcji dziecka.

Przejęcie się do najwyższych granic walką. (w „Cyrku"), skręcanie się całej istoty i stan fizycznego niepokoju określa: „nie wiedziałem, co robić, gdzie się podziać". W tymże „Cyrku" przemiana, zachodząca w duszy dziecka, mocne niezwykle wzruszenia, przepalanie się od stanu, który nazwaćby można szowinizmem do czystego humanitaryzmu, odbywa się na dwu stronicach (w rzeczywistości w ciągu kilkunastu minut) i wyraża gradacjami słów-wykrzykników: 1) „On (Pytlasiński) zwycięży!" 2) „Czy on zwycięży?" 3) „Niech nikt nie zwycięży!" 4) „Żal mi Neumana!" — Tu się zaczyna braterstwo ludzi.

W „Achilleis" Wyspiańskiego — jak refren— powraca kilkakrotnie myśl o najgłębszem, istotnem braterstwie ludzi szlachetnych! *Achilles—Hektor.* „Chcę... szlachetnym dłoń podawać śmiele, choćby to mieli moi być nieprzyjaciele". — „W sojuszu będę żył z tym, co *mnie godny*".

Kaden w pracy swej literackiej niejednokrotnie powraca do tej samej lub podobnej sprawy.

Kaden, nie mający co do „człowieka" złudzeń, ostry, chłodny i krytyczny, odprężony w paru ostatnich swych książkach, raz poraz podnosi myśl o najwyższem prawie miłości człowieka dla człowieka. W „Przymierzu serc" mówił już o tem.— „Biała niedźwiedzica" — piękna nowela o nienawiści dla wrogów i miłości ojczyzny kończy się przypuszczalnemi słowami nieżyjącego już ojca: „Ludzie wolni nie boją się nikogo. Mogą kochać wszystkich".

„Nad brzegiem wielkiej rzeki" jest, jak i poprzednie dwie książki o dzieciństwie, nawiązaniem do życia tych, których już niema, lecz ponadto i spięciem z życiem tych, którzy się zaczynają. Autor jednym i drugim podaje swe ręce.

Książki Kadena mogą stać się szkołą słowa. Od łamańców barokowości umiał dojść do wielkiej prostoty. Uwięził i pokonał siebie, świadomie wzmacniając i osłabiając gamę swych możliwości. Książka ostatnia jest majstersztykiem *prostoty*. Stoi już na jej granicy.

N. Samotyhowa.

Stracona okazja.

Z cyklu „Kurz na oliwkach".

Nazywał się Torpède i był łotyszem.

Dawniej wypożyczało mu się nieraz pszenicę na siew albo zdolnego majstra na kopalnię. Dorabiał się. Zpoczątku mieszkał kątem we wsi, potem na swojej nieprzytulnej, kamieniami tylko porośniętej, górze — w nędznej klitce.

Wreszcie wystawił dom. Do przybudówki wprowadziły się najpierw prosięta, potem krowa. Znalazła się i matka. Ale nie pokazywał jej nikomu. Widocznie służyła tylko do smażenia placków kartoflanych i cerowania grubych prześcieradeł.

Stosunki były dobre. Dziś konstatuję z zadowoleniem fakt konkretnej sąsiedzkiej życzliwości dla Torpèda, stanowi ona bowiem pewien równoważnik późniejszych uprzejmości tego pana. Dobre uczynki odzywają się widocznie jak nożyce, kiedy w życie uderzy znagła twarda pięść nieszczęścia.

Bo jakoś wkrótce potem los uznał za stosowne zmienić swój uśmiechnięty wyraz na wzgardliwy. Przed drzwi krzywego domku Torpède zajeżdżał teraz, jak królewicz z bajki.

Turkot gruchoczącego wozu oznaczał ciepło w kuchni, skwarki w kaszy i trzy, prędziutko biegające po herbacie z marchwi, tabletki sacharyny. Stosunki też się zacieśniły, pomimo że Torpède miał w dalszym ciągu rybie oczy i był nudny. Zawsze zjawiał się ktoś jakgdyby z domu i jeśli miał ochotę, mógł ze szczytu swojej góry zobaczyć

wierzchołki naszych topoli. Wierzchołków tych nie można było dojrzeć z odległego o piętnaście mil miasteczka.

To też w rozmowy zaczął się nieznacznie wsączać strumyk poetyczności. Między innemi przyszła kolej na różne tam poufne zapytania: czy kwitnie to czy owo, czy fijołki, czy barwinki. Torpède nie bardzo swojsko czuł się w tej dziedzinie. Przysięgłabym, że nie odróżniał fijołka od barwinka dziwiąc się w duchu, jak można pytać jego o takie rzeczy. Odpowiadał też niewyraźnemi pomrukami, że owszem, kwitnie. (Kto to wie może naprawdę kwitło? Jak dawniej tak i teraz sunął nad ziemią coraz to inny miesiąc—mógł więc być i kwiecień). Ponieważ jednak nie wypadało karmić gościa samym tylko inutilem, musiałam mu podsunąć czasem temat konkretniejszy. A więc: stan drogi. A więc: z długim ogonem zer, cena na mąkę.

Niebawem na mocno ocieplonych stosunkach wystąpiły nowe symptomaty. Lampa przytulnie ustawiona za firanką. Rozmowy, do których wymarzone tło stanowił intymny perkot gotujących się kartofli. Wreszcie—uznanie za swoją własność końca jednego z moich jasnych warkoczy.

Któregoś z takich wieczorów Torpède uważał za wskazane złożenie w moje ręce projektu okazyjnego nabycia garniturku zielonych pluszowych mebli i pianina. Bez wahania rzuciłam głos na szalę zielonego brzydactwa i klekotu. W następnej chwili zrozumiałam: do tak wykwintnej obstanowki Torpède musowo potrzebuje żony z muzyką i francuzczyzną. Stało się jasne, że w najbliższym czasie wystąpi z konkretniejszą propozycją.

Zaszedł jednak epizod — który takby się zdawała — zrazi do mnie Torpèda ostatecznie.

Mój przyjaciel Szurka, któremu pomagałam w zapędzaniu krów i geometrji, ofiarował mi pewnego dnia parę zabitych wron, twierdząc, że mogą być na rosół lub potrawkę. Uszczęśliwiona, wpakowałam kościste ptactwo w wodę (jako że byłam jeszcze panią na garstce soli tudzież trzech ziarnkach pieprzu) i poszłam się przelecieć po zaśnieżonym parku. Na którymś tam zakręcie zdybał mnie ojciec z wiadomością o wizycie Torpèda. Wróciłam piorunem, konstatując tradycyjną kałużę przed progiem i ślady obłoconych bucisków w całej kuchni.

— Masz co na obiad? — spytał ojciec.

Od dłuższego czasu nie mogłam go od tego nietaktu odzwyczaić. Wiedział przecież, że worek od kaszy już od dwuch tygodni oznajmił „jestem pusty" i zwinął się pokornie na przypiecku, a beczka od mąki coś podobnego powiedziała jeszcze przed miesiącem. Tym razem jednak rzuciłam niedbale:

— Naturalnie.

— Cóż tam masz na obiad?

— Rosół.

W tej chwili oko rodzicielskie dojrzało dwie pary fioletowych łap sterczących z rądla. W przerażonej twarzy wyczytałam ważenie się dwuch alternatyw — złodziejstwo czy padlina?

— Nie, to są wrony. Szurka mówił — — — —

Ale nim zdążyłam wyliczyć przewidywane rozkosze podniebienia, gnaty razem z całą zawartością rondla znalazły się za oknem. Natychmiastowo, na gorąco zostały zżarte przez wygłodzone gospodarskie pieski.

W pół godziny potem popijaliśmy z grobową miną trzy szklanki marchewianej cieczy, przegryzając toto czerstwym chlebem. Torpède napróżno starał się ułagodzić moją pasję nadprogramową tabletką sacharyny. Złość mnie dławiła. Po pierwsze: obiad przepadł. Po drugie: kompromitacja gospodarska. Po trzecie: Torpèda mogła zrazić waśń rodzinna.

Nic podobnego. Kiedy na drugi dzień, zgoniona, wpadłam w sień, ojciec oznajmił mi przyjaźnie:

— Był Torpède.

— I co?

— Oświadczył się o twoją rękę. Mówił, że jesteś dobra gospodyni.

Oniemiałam. Nie było więc kompromitacji! Torpède ocenił moją pomysłowość! Torpède zrozumiał! Torpède jest człowiek, a nie takie zakamieniałe burżuisko, co woli zdychać z głodu, niż zjeść ptaka, który niema szczęścia być przepiórką ani legalnie na świat przyjść w kurniku! Torpède— Torpède napewno byłby zjadł *kawałek mięsa*.

— — — — — — — — — — — —

A jednak — nie zostałam panią Torpèdową Teraz myślę: Taki sam byłby wieczór ulepiony z błota i ciemności. Przy naftowej lampie cerowałabym malutkie grube skarpeteczki. Koło kolan pętałoby mi się dziecko z rybiemi oczami. Przy drzwiach tupałyby buty majstra, zdającego swój wieczorny raport. Z sieni — niechybnie — wsuwałaby się mokra głowa psa, któremu nie wolno.

W powietrze ciężkie od skwarek i pierogów z kartoflami, padałyby słowa twarde znaczeniem i powolne od namysłu. Wszystkie różowe roztańczone jutra stężałyby w bezwładne osowiałe dziś Złożyłabym na stole niedocerowane skarpetki; odsunęłabym dziecko, kochane mimo rybich oczu. Ciepłą kraciastą chustkę rzuciłabym na ramiona. Z oślizgłych schodków wywiałabym na wyrwy i kamienie.

Pierwszy wiatr spróbowałby mnie zwalić i wyrwać z zaciśniętych rąk kraciastą chustkę.

Drugiego nabrałabym jak krzyku—pełne płuca.

Trzeci dopiero przyniósłby mi przeciągły szum topoli z tamtego parowu, szum, którego nie zastąpi, nie powtórzy żadna aleja świata.

Wanda Borudzka.

Martwa natura

Na płótnie
zielone flaszki mają kwaśną smukłość,
mdły wdzięk siarczanych kwiatów.
Obrus fałduje się jak suknia
i twardo we fałdach dźwiga
ołów cieniów cierpkich i garbatych.
Lampa wykwita brązową łodygą
i kielichem abażura który
jest brzuchatym kielichem czerwonego wina.
Lecz widzę silniejszą czerwień, czerwień jabłek, ciężkich kul
i pomarańcze, okrągłe pocałunki gorącej skóry.
i jedną jedyną cytrynę,
obrzękłą rybę płynącą przez stół.
Najczerwieńsze są krwawe plamy
zranione granaty,
wargi w winie,
i cień niegdyś kochany
ukryty
w złotej szkatule mego serca jak pestki w cytrynie.

Mila Elinówna.

Literatura specjalna.

Niedawne to jeszcze te nieszczęśliwe czasy, gdy w literaturze wszyscy tworzyli wszystko, względnie każdy robił wszystko, względnie wszyscy ciągle zaczynali od początku. Czasy te wraz z niewolą minęły bezpowrotnie. Z pisarzy spadł zaszczytny, lecz jakże niepomierny ciężar prorokowania, wieszczenia, ferowania nieśmiertelnych wyroków itp.

Zaczynamy sobie pozwalać na zbytek porządnej systematycznej, a nawet specjalnej obserwacji i pracy. Nazywa się to wciąż jeszcze różnorako,— a więc literatura regjonalistyczna, lokalna, opisowa,—stanowi zaś zdrowy i normalny podział pracy w zdrowym normalnym organizmie społecznym.

Ów podział pracy i jego przejawy witamy z tego miejsca najradośniejszem sercem, widząc w przejawach tych i oznakach dobrą wróżbę ścisłej obserwacji, znajomości środowiska i rzetelnej realizacji artystycznej.

Do takich właśnie książek należy St. Krzywoszewskiego ,,Z przeżyć i Wrażeń Myśliwskich", wspaniale wydana nakładem Gebethnera i Wolffa, bardzo żywo ilustrowana przez K. Mackiewicza. Książka Krzywoszewskiego jest zbiorem opowiadań o wycieczkach myśliwskich w różne strony Polski. Autor lekko, a zawsze sumiennie podmalowuje tło, daje kolor lokalny, w sylwetkach zręcznych i trafnie zebranych podaje czytelnikowi miejscowych ludzi,—przedewszystkiem jednak jest zawołanym myśliwym. Myśliwym z pasji, z nałogu, z zamiłowania.

Nic dziwnego zatem, że przy wszystkich szczegółach myślistwa osiąga największy stopień ścisłości i trafności opisu. Pasja myśliwego udziela się czytelnikowi który ma możność wniknąć w ów nastrój zgoła specjalny, nastrój łowu, polowania i zabijania.

Momenty pasji tej oddaje Krzywoszewski doskonale. Doskonale zna zwierzęta. Lubi je. Bardzo dokładnie je widzi. Chciałoby się zawołać do autora, w trakcie opisu sasiadki na głuszca: Mam nadzieję, że nie trafiliście wkońcu. Tak piękny jest ten ptak.

Autor jednak woli celność strzału od piękności ptaka. Pasja. Namiętność, — uchwycona w tej książce bardzo żywo.

* * *

Do specjalnej literatury zaliczylibyśmy również ,,Sonety Instrumentalne" *) Witolda Hulewicza. Wybieramy bowiem z nich to, co się na pierwszy plan narzuca tj. sonety poświęcone muzyce, względnie orkiestrze symfonicznej. Czy nawet poszczególnym instrumentom. Zadanie podjął Hulewicz nader trudne, gdy zważymy, iż instrumentom muzycznym poświęcił trzydzieści kilka wierszy. Trzeba tu więc było, atakując wciąż ten sam w zasadzie temat ustawicznie zmieniać formę a przytem rozporządzać zakresem bardzo plastycznego i trudnego porównania.

Wszystkie charakterystyki instrumentów stworzone przez Hulewicza są wierne, niektóre z nich świetne, pełne prawdy, humoru, często tchnące niespodzianą a żywą przenośnią.

Braterstwo sztuk wygląda u nas wciąż jeszcze bardzo opłakanie. Muzycy nic nie wiedzą o pisarzach, pisarze nie znają malarzy, ci ostatni nie zajmują się ani muzyką, ani literaturą. Tracą na tem oczywiście jedni, drudzy i trzeci. Otóż Sonety Instrumentalne powinny się znaleźć koniecznie w bibljotekach (czy istnieją bibljoteki literackie muzyków), muzyków a przedewszystkiem instrumentalistów. Tomik ten to rzadki u nas przyczynek do studjów nad duszą przedmiotów tak zmienną i tak nieuchwytną.

* * *

Przyszły regjonalista! Wystarczy słowo regjonalista wypowiedzieć, by się tyleż głosów podniosło pro ile contra. Nie chodzi tu jednak o spory, ani nawet o to, czy ów, przyszły regjonalista (według szerzonych obecnie zasad przez prowincjonalną głupotę) należy do *tutejszych*, czy *nietutejszych*.

W *Betlejem Ostrobramskiem* Tadeusza Łopalewskiego (wydane w Wilnie przez Bibljotekę Źródeł Mocy) dopatrujemy się zadatków pięknej prozy regjonalistycznej, — mimo, iż rzecz cała t. j. misterjum pisana jest wierszem. Wiersz nie jest udały, ani nawet samo misterjum, pozbawione zawiązku dramatycznego, wszelkiego konfliktu i wyraźnej akcji.

Wyżej od tych niedociągniętych rzeczy stawiamy piękny wstęp prozą, poprzedzający Betlejem. Ze wstępu tego, jak też z tonu poszczególnych strofek widać, iż T. Łopalewski nasiąkł atmosferą Wilna, czuje to miasto, jak się czuje swój

*) Witold Hulewicz. Sonety Instrumentalne, wyd. Fr. Hoesick, Warszawa' 1928.

te nat. Autor winien obecnie pogłębiać w sobie to czucie, nie rozstrzelać go na aktualne zagadnienia, nie poddawać się potrzebom chwili. Skupić się najpilniej — do obyczajowej powieści o Wilnie.

Ileż elementów sławy i groteski, powagi i bolesnego komizmu, miłości i satyry może być w tej powieści!

* * *

Zebrane wszystkie listy Chopin'a ukazały się w Monachjum, nakładem J. Müllera, w skrupulatnym, a literacko świetnym przekładzie d-ra Guttry'ego na niemiecki, — podczas gdy tenże sam zbiór listów Mistrza zebrany przez H. Opieńskiego nie ukazał się jeszcze po polsku.

Wydanie listów Chopin'a tak ze względu na coraz wzrastające znaczenie Chopin'a, jako genjalnego kompozytora, jak też ze względu na coraz wszczynaną sprawę polskości Mistrza ma dziś duże znaczenie. Nic lepiej od tych właśnie listów nie mówi i nie świadczy o narodowości Chopin'a. Lektura tych listów pozwala wniknąć w bardzo zamkniętą bardzo skrytą duszę Fryderyka, równocześnie zaś na podstawie tej korespondencji odtworzyć sobie można z łatwością poglądy Chopin'a na całą współczesną Mu epokę.

* * *

W ostatnim numerze „Drogi" zwraca uwagę piękny, głęboko przemyślany artykuł Jana Aubry'ego o polskości Conrada-Korzeniowskiego. P. Aubry łączy ścisłość francuskiego badacza z przedziwną poprostu wnikliwością a nawet powiemy więcej, z twórczą intuicją psychologa. Przerobiwszy najdokładniej cały szereg realjów, tyczących losu ojca i dziada Conrada, pobytu na wygnaniu, potem w Krakowie, — dochodzi Aubry do przekonania, uzasadnianego świetnym przewodem psychologicznym, iż przejście Conrada do języka angielskiego, jako narzędzia pracy literackiej, oraz do żeglarstwa było swego rodzaju ekspiacją za panujący w Polsce po r. 1863 okres pozytywizmu. Rodzajem szlachetnego odwetu, świadczącego o nieustannem trwaniu polskości w duszy Wielkiego Pisarza.

Z załączonego w „Drodze" artykułu spodziewać się należy, iż opracowanie Conrada przez Aubry'ego po francusku będzie niebywałą rewelacją w międzynarodowym świecie literackim.

jkb.

Cień Murger'a.

Kornel Makuszyński. O duchach, djabłach i kobietach. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927, str. 199 i nl.

Kornel Makuszyński. Ponure igraszki. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 283 i 5 nl.

Zamiast recenzji — kilka gloss do twórczości Kornela Makuszyńskiego.

* * *

Na stronicy 34 — 5-ej „Ponurych igraszek" snuje Makuszyński rozczulające, typowo polskie, liryczne refleksje o „dziecinności" codziennego życia wielkich poetów (à propos Jana Kasprowicza). Niby że to „dziecko nieporadne i lękliwe, byle czem zatroskane, z lada powodu wpadające w przesadę smutku"... i t. p., i t. p.

Istnieje teorja z dziedziny psychologji twórczości (u nas rozwijał ją kiedyś Brzozowski), że artysta to przeważnie człowiek upośledzony fizycznie pod jakimkolwiek względem, co jest mu wynagrodzone przerostem zdolności duchowych. Ale Makuszyński rozszerza ten defekt i na życie codzienne twórców, tych nieudolnych partaczy życiowej praktyki.

Może pokutują tu jeszcze resztki antimieszczańskiej teorji życia Karola Baudelaire'a.

Podobnie Przybyszewskiego, zwalczanego dawniej, wasymilowano obecnie bez reszty. Najwidoczniej kwaśny ocet twórczości zamienia się z czasem na znośne wino.

Ładna, ale jakżeż nieprawdziwa obecnie teorja! Dziś, gdy modne jest wywalczanie sobie pięścią prawa do życia, gdy niektórzy francuscy literaci głoszą, że pisarz (jeżeli chce być sobą) musi mieć poza literaturą jakiś zawód praktyczny—Makuszyński przychodzi ze swą murgerowatą apologją Kasprowicza. Nie tak winno się oddawać honory odchodzącym w wieczność. Lepsza jest walka z myślą zmarłego od podobnej chwalby.

Przypominają się „Przedstawiciele ludzkości" Emersona. Ale i ten nie pokazałby Makuszyńskiemu nic, coby mu mogło odpowiadać. Makuszyński natrafia na problemy myślowe, o ile stały się już rodzynkami w słodkiem „cieście życia".

Tyle o Kasprowiczu i fusach teorji „wielkich ludzi".

* * *

Kwestja społeczna. Wyda się paradoksem samo poruszenie zagadnienia, gdy na myśl przyjdą wszystkie „Perły i wieprze", „Na mlecznej drodze", „Fatalne szpilki", ten zalew widzącego tylko siebie mieszczaństwa. A jednak kwestja ta istnieje, jakżeż dziwnie tylko zdeformowana. Nie zaryzykuję oczywiście nic w rodzaju dantologicznego komentarza do „Boskiej komedji", tłumacząc, że ubogi ale wesoły malarz Szczygieł jest właśnie symbolem proletarjatu. Żarty na bok. W książkach Makuszyńskiego widzimy wynik kulturalnego procesu, podobnego do znanej gry towarzyskiej, zwanej „zepsutym telefonem". Makuszyński używa myśli, które, aktualne lat temu kilkadziesiąt, teraz zdeformowane, kończą swój żywot.

Nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na to, jakim zapasem terminów, strzępów teoryj, wprowadzonych przez rok 1905 operuje obecnie endecja. A przecież używa ich ona w swoim własnym sensie. Podobnie Makuszyński nie wie, ile wybuchowego materjału zawiera jego własna twórczość. Cyganerja Makuszyńskiego to nic innego jak Rewolucja Lipcowa, Wiosna Ludów to Komuna Paryska.

— — — — — — — —

O ironjo!

* * *

Filozofja „joie de vivre'u"—czyli kobieta i wino. Brak tylko śpiewu. I to też murgeryzm, ale na jak fałszywą śpiewany nutę. „Cyganerja" Murgera była jednak związana z życiem, wyrosła z tych samych źródeł, co i balzakowskie dzieje Józefa Bridau (mniejsza o skalę talentów), ale Makuszyński to tylko epigon Murgera, hojnie rozrzucający ziarno swojej muzy na całe mieszczaństwo polskie. Przecież to wyraźna propaganda frankofilstwa. Dziwne, że nie poznali się na Makuszyńskim Austrjacy podczas jego pobytu we Lwowie, najmilszem mu z polskich miast.

Henryk Drzewiecki.

VARIA.

Adam Mickiewicz współpracownikiem arystokratycznego organu „Towarzystwa Szubrawców".

Obok słynnego „Tygodnika wileńskiego" wychodziły w Wilnie z początkiem XIX w. „Wiadomości brukowe", organ „Towarzystwa Szubrawców". W piśmie tem współpracowały najszlachetniejsze ówczesne umysły, a między innymi również Adam Mickiewicz. „Wiadomości brukowe", wbrew swemu tytułowi, odznaczały się wysokim poziomem literackim i miały za zadanie zwalczanie współczesnego wstecznictwa i rozpanoszonego obskurantyzmu. Ostry bój toczył organ „Towarzystwa Szubrawców" ze sławetnym „Miesięcznikiem Potockim", wydawanym przez tamtejszą akademję zakonu jezuickiego, utrzymującego się wbrew woli Papieża.

„Dziedzilja".

Taki tytuł nosił jeden z pierwszych polskich miesięczników literackich, wychodzący w Płocku, w r. 1824, pod redakcją poety i lingwisty prof. Augusta Żdżarskiego.

Wileńskie wydawnictwa literacko-naukowe w początkach XIX w.

W początkach XIX w. było Wilno ośrodkiem najbujniejszego życia umysłowego w Polsce. Zaznacza się ono również w silnie rozwiniętym ruchu wydawniczym w dziedzinie literackiej i naukowej. Oprócz wspomnianych pism jak „Tygodnik Wileński" pod redakcją A. Żółkowskiego i „Wiadomości brukowe" wychodziły w grodzie nadwilejskim: „Powszechna Gazeta Literacka"; „Pamiętnik Magnetyczny", redagowany przez uczonego Ignacego Lachnickiego; „Pamiętnik Tow. lekarskiego" (1818) jakoteż „Dziennik medycyny, chirurgji i farmacji. W tych czasach wychodziły w Wilnie trzy dzienniki polskie: „Dziennik Wileński", „Kurjer Litewski" i „Gazeta Litewska". Do stałych współpracowników dziennikarstwa wileńskiego należały między innemi pióra tej miary, co A. Mickiewicz, Lelewel, Śniadeccy, Grodeck i Narbut.

Nawiasem warto zaznaczyć, że Wilno posiada wówczas pierwsze i jedyne w swoim rodzaju poważne czasopismo, poświęcone sprawom opieki społecznej i filantropji p. n. „Dzieje dobroczynności krajowej i zagranicznej".

P. Februarjusz żali się na upadek czytelnictwa w r. 1817.

Wspomniany „Tygodnik Wileński" umieszczał stałą rubrykę listów od czytelników. W N-rze 80 z r. 1817 pisze tam niejaki p. Februarjusz:

„...Nie wiem czy to przepowiednie dobrego lub złego, kraj nasz jednak zbytecznie perjodyczne zagęściły pisma. Może to smak bardzo wydoskonalony, a może i kryzys gorączki tych głów, które my w powiecie naszym „autorami" zwiemy. Doniósł mi jednak mój przyjaciel rozmowę ze sławnym w mieście księgarzem, który uskarżał się mocno, że W. W. Panów wielu się bardzo namnożyło, głów rozumnych, przez co handel książkami upadł prawie zupełnie..."

W 111 lat później konstantujemy w Polsce zupełnie taki sam stan rzeczy...

J. I. Kraszewski, jako dziennikarz.

Wychodząca w Warszawie od r. 1861 „Gazeta Polska" (dawniej „Gazeta Codzienna") pozostawała pod redakcją znakomitego powieściopisarza, Józefa Kraszewskiego.

„Qui pro Quo" Józefa Korzeniowskiego.

Sympatyczny teatrzyk w „Galerji Luksemburga" nie wie przypuszczalnie, że nazwę „Qui pro Quo" wprowadził do polskiej literatury teatralnej znany dramaturg, autor „Karpackich Górali" i innych, Józef Korzeniowski, w którego dorobku scenicznym znajduje się 1-o aktowa komedyjka p. t. „Qui pro Quo".

Kazimierz Brodziński redaktorem pierwszego czasopisma ilustrowanego.

Na wzór pism zagranicznych powstaje na uchodźtwie, po r. 1830, pierwsze polskie czasopismo ilustrowane p. n. „Magazyn powszechny, dziennik „Użytecznych wiadomości" pod red. poety K. Brodzińskiego. Z czasem przybiera ono charakter popularnego tygodnika przyrodniczego. Po nim ukazują się czasopisma ilustrowane jak „Muzeum Domowe" F. S. Dmochowskiego (Warszawa), które staje się z czasem miesięcznikiem literackim.

Odyniec — redaktorem.

Kiedy w r. 1840 zamieniano „Kurjer Litewski" na „Kurjer Wileński", objął jego redakcję ceniony poeta, przyjaciel Mickiewicza — Odyniec.

Hen. Ad.

Anglo-Americana.

Angielskie nowości.

— Laura Riding, angielska „femme de lettres", wydaje w Londynie u Jonathana Cope studjum o nowej poezji p. t. „Współcześni i Snoby". Ta sama autorka przygotowuje jednocześnie zbiór artykułów o literaturze, w sztuce, krytyce i socjologji p. t. „Anarchja, nie dosyć jej jeszcze", oraz wspólnie z Robertem Graves „Pamflet na antologję".

— Poemat „Tristram" Edwina Arlingtona Robinson, którego amerykańskie wydanie rozeszło się w 50000 egzemplarzy, ukaże się niedługo w osobnem angielskiem wydaniu.

— Malajski Oddział Królewskiego Towarzystwa Badań nad Azją wydał pamiętnik Baltazara Borta, gubernatora malajskiego z roku 1678. Administracja kolonji wówczas spoczywała w rękach półprywatnych „kompanji". Kompanja posiadała swój cywilny i wojskowy zarząd, a nawet gubernator był urzędnikiem kompanji.

Półwysep malajski należał wówczas do Danji, a przedtem do Portugalji. Gubernatorzy byli zmuszeni do pisania pamiętników przez swoją kompanję, pamiętniki te w formie raportów przesyłane do zarządu służyły jako zbiór przestróg i pouczeń dla przyszłych gubernatorów.

Garnizon Borta składał się z 338 ludzi, oddział kawalerji składający się z 14 ludzi przeznaczony był do obrony przed malajskimi z sąsiednich plemion złodziejami.

Gubernator Bort udzielał ślubów dwa razy na rok i to za opłatą.

Amerykańska herezja.

Pod tym tytułem ukazało się angielskie studjum Krzystofa Hollis o współczesnej Ameryce „Cały ten kraj—mówi Hollis w przedmowie — poszedł złą drogą". Na to aby mógł się poprawić należy zwalczyć amerykańską pewność siebie, przedstawiwszy jej dzieje w nowem i właściwem świetle. W krótkich biografjach Calhouna, Jeffersona, Lincolna i Wilsona żali się, że niezadługo nie będzie nikogo w Ameryce, ktoby słyszał np. o Herbercie Spencerze, a wnukom dzisiejszej amerykańskiej generacji będzie obce nawet nazwisko Woodrowa Wilsona.

Sprawy kulturalne nietylko są obojętne szerokiemu ogółowi ale i tamtejsza elita intelektualna, według Hollisa, grzeszy brakiem jakiejkolwiek erudycji i metody naukowej szczególniej jeśli chodzi o t. zw. nauki humanistyczne. *U—t.*

Nasze biedne gospodarstwo

Podobno wydawnictwo Rój wprowadza już niebawem w swych wydawnictwach numerację egzemplarzy. Rzecz małą a ważną. O numerowaniu egzemplarzy od czasów idyllicznych, które przerwał w Polsce pierwszy W. Sieroszewski schodząc do księgarskiego hurtu z metrem w ręku i mierząc zapas uformowanych w paki egzemplarzy — krążą wciąż legendy, że nie trzeba nic mierzyć, ani w książki wzgladać nie trzeba i wogóle niczego kontrolować. O ile t. zw. honor handlowy zawsze z dumą pewną poddaje się kontroli, o tyle honor wydawców czuje się zawsze wszelką kontrolą obrażony.

Uważamy, iż sprawę honoru przeniósłszy do innych dziedzin, wydawcy nasi uczyniliby bardzo słusznie, idąc za przykładem Roju: Numerować wydrukowane egzemplarze i basta. Koszt żaden— a komuż to w handlu zaszkodził kiedy porządek?

*

Krytyków, względnie dzieła krytyków wmieszczamy do rubryki „Biednego Gospodarstwa", nie iżby dzieła krytyczne w treści swej były biedne, lecz, że tak trudno o wydanie takowych. Trudno też,—bądźmy szczerzy,—o krytyków, którzyby gdy chodzi o współczesną literaturę, chcieli porządnie przysiąść fałdu.

Otóż są tacy u nas jeszcze i to dwaj i to młodzi a wydać ich w tym roku zamierza Mortkowicz. W nakładzie tej firmy ukaże się obszerna praca L. Pomirowskiego p. t. „Doktryna a Twórczość" oraz dalszy ciąg, względnie II tom J. N. Millera „Zarazy w Grenadzie.

Podobno w tem samem wydawnictwie wystąpić ma Ostap Ortwin ze studjum o współczesnych poetach polskich.

*

Cobyśmy powiedzieli o człowieku, który, otrzymawszy jakieś zadanie do przeprowadzenia o spełnieniu zadania tego w określonym czasie referowałby następująco: Przez cały czas pozostawiony do wykonania pracy, oddychałem. Równocześnie, serce moje wypychało konieczną ilośc krwi przez cały mój ustrój. Równocześnie, w żołądku moim i w całym przewodzie pokarmowym odbywała się normalna praca. Równocześnie naskórek mój, wydzielał normalną ilość tego, co naskórek zdrowego człowieka ma wydzielać. Równócześnie— i t. d. i t. d.

Dżentelmena takiego zapytalibyśmy wkońcu dość niecierpliwie o wykonanie zadania.

W danym wypadku ogół polski, otrzymujący pod nagłówkiem „Sztuka Polska Wśród Obcych" sprawozdanie z działalności Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych za rok 1928/27, występuje w charakterze interlokutora; ustęp zaś p. t. Literatura i Kultura odpowiada: Oddychałem, łykałem, trawiłem—i nic właściwie w danym zakresie nie zrobiłem.

Ze sprawozdania dowiadujemy się rzeczy iście fenomenalnych! Naprzykład,—że „miano na uwadze, by innym językiem przemawiać do publiczności czytającej w Niemczech a innym we Francji".

Dalej, że: Nawiązano kontakt z wydawcami zagranicznymi, że porozumiewano się z naszemi placówkami zagranicznemi, że korespondenci zagraniczni wyrazili jakąśtam gotowość, że jakiś (bez nazwiska) wybitny recytator niemiecki wygłosił utwory nasze.

Jeżeli „ścisnąć" to sprawozdanie, okaże się, iż prócz dwóch broszurek i przekładu Listów Chopin'a (przez dr. Guttr'ego, który przekłada chyba samodzielnie) nie zrobiono nic, w zakresie t. zwa-

nej Literatury. Nie wprowadzono na obcy rynek jednej naszej książki, nie stoczono jednej batalji krytyczno-informującej.

Sprawozdanie Stow. Sztuki Polskiej Wśród Obcych z sekcji literackiej jest swego rodzaju wzorem,—jak zapełnić nicością cztery bite stronice glansowanego papieru. *xyz.*

Polonica

Zdecydowano ostatecznie, iż prasa polska, bierze udział w międzynarodowej wystawie prasowej tego roku we Frankfurcie nad Menem. W dziale polskim położony będzie wielki nacisk (trudno maszynami naszemi, czy też ilościami nakładów konkurować np. z Ameryką) na historyczny przegląd najstarszych druków prasowych, prasę emigracyjną (bardzo okazałą) oraz na prasę mniejszości.

* * *

W niemieckim miesięczniku Die Horen wydawanym w Berlinie pod redakcją H. M. Elstera i W. von Scholza, w numerze V-ym, który ukazał się w lutym b. r. znajdujemy na pierwszem miejscu mowę powitalną, wygłoszoną przez członka Akademji literatury niemieckiej Wilhelma von Scholza na cześć gości polskich, w sekcji niemieckiego PEN-klubu, oraz odczyt J. Kaden-Bandrowskiego o literaturze polskiej współczesnej wygłoszony w Berlinie. Odczyt drukowany jest w Die Horen p. t. Polnische Literatur: Strömungen und Gestalten.

W tym samym numerze znajdują się prace Karola Haupmanna, Böhma, T. Daublera W. G. Hartmana i w. i. Zewnętrzna szata wydawnictwa nader wytworna.

* * *

Boy-Żeleński zakończył swój objazd we Francji, żegnając się ze sferami artystycznemi Paryża na bankiecie wydanym na cześć naszego pisarza przez Związek francuski Powszechnego Towarzystwa Teatralnego.

* * *

Podobno za kilka tygodni odwiedzić ma Polskę nowy akademik francuski Paul Valery, jako gość Sekcji Polskiej PEN—klubu.

* * *

W pierwszych dniach marca ma się odbyć w Pradze czeskiej wieczór poetów Skamandra, na który udać się mają do Pragi Iwaszkiewicz, Lechoń, Słonimski, Tuwim i Wierzyński.

* * *

„Die Literarische Welt" w kronice z przeglądu książek (Nr. 5 b. r.) atakuje bardzo złośliwie Ossendowskiego, przypisując mu jako dewizę pisarską: najprzód było kino potem świat. Kronika podpisana jest przez R. Huesenbecka.

Prasa o literaturze.

Przedmioty literackie w Wyższej Szkole Dziennikarskiej.

Istnienie i rozwój Wyższej Szkoły Dziennikarskiej nie powinny być obojętne dla sfer literackich w Polsce. W przeciągu 11-to letniego istnienia wykazała uczelnia ta niezwykłą dbałość o literackie wyszkolenie przyszłych adeptów dziennikarstwa.

Główny nacisk kładła i kładzie W. S. D. na opanowanie przez słuchaczy języka polskiego i techniki pisarskiej, aby zapobiedz radykalnie panoszącemu się obecnie w dziennikarstwie naszem niechlujstwu językowemu.

Wśród byłych i obecnych wykładowców „Języka polskiego" i „Krytyki literackiej" wystarczy wspomnieć nazwiska uczonych i pisarzy jak prof. A. Kryński, prof. A. Boleski, Cezary Jellenta i inni. Krytykę teatralną wykładali kolejno Adam Zagórski, Wł. Zawistowski, a w ostatnich 2-ch latach udziela tego przedmiotu znany teatrolog prof. Wiktor Brumer. Słuchacze są również zobowiązani do pracy w seminarjach krytyki literackiej i teatralnej.

W seminarjach: dziennikarskiem i publicystycznem, analizuje się artykuły i wypracowania studentów także z punktu widzenia językowego i stylistycznego. Tę pieczowitość w stosunku do przedmiotów literackich zawdzięcza Wyższa Szkoła Dziennikarska prof. Ernestowi Łunińskiemu, który od szeregu lat piastuje urząd dyrektora tej uczelni.

ha.

O książce i czytaniu.

KSIĄG POSIADANIE A MĄDROŚĆ.

A jako może kto się kochać w strzelbie i wszelakim obronnym żelazie przeto być wojownikiem; może mieć kto zbiór dątych, palcowych smyczkowych narzędzi, nie przeto jednak być albo trębaczem, albo lutnistą, albo skrzypkiem; może kto siedzieć zawsze między dryjakami, bezoarami, ziołami, korzeniami, a nie przeto być lekarzem; może kto trzymać się stajni wiele podjezdków i powodnych koni z dobremi munsztukami i siodłami, nie przeto jedno być dobrym jeźdźcem; może kto mieć składy łodzi, wioseł, lin, drągów, a nie przeto być sternikiem; tak może kto mieszkać między ścianami książek, a nie przeto być uczonym. Pewnie kto się we lwią skórę ubierze i z kosturem chodzi już przez to będzie Herkulesem. Pewnie kto sajdak i łuk Herkulesa nosi, a nie jest Filoktetem, do celu trafić potrafi? Pewnie Tersites gdy weźmie na się broń Achillesa, zaraz okazałym i mocnym rycerzem zostanie, i frygijskie wody nie tylko przebywać, ale i krwią farbować będzie? Pewnie zabije Hektora a przed nim położy Lykaona i Astorepeusza, ten, ledwo na karku jesionową Achillesa dzidę dźwigać może? Pewnie ten, króry dostanie piszczałkę Timoteusza albo Izmeniasza, bez mnienia w nią nadymania, już zaraz obwislą będzie? Pewnie kto nabędzie fujarek Marsjasza lub Olimpa, zaraz grać na nich nie nauczywszy się wprzód potrafi? Takby z takim było, jak z owym Evagolem tarentyskim szlachcicem stało się, który także rozumiał, że do grania nie trzeba nauki, ale

dosyć jest mieć piękne i wyborne narzędzie, dla czego śprawiony sobie ze złota lutnią, rżniętemi na kamieniach drogich Appolina, Orfeusza i dziewięciu muz obrazami osadzoną, poszedł do Delfów, tam podzas powszechnych igrzysk, o zakład z drugiemi grać się odważył i płochość swoją sromotnymi rózgami osieczeniem przypłacił; albo jak z Weantem, głupim królewiczem się przytrafiło, który Orfeusza skrzypce wielkim nakładem kupiwszy, i rozumiejąc, że wszystkie żywe stworzenia słodkim brzmieniem w zadumienie wprawi, za pierwszym smyczka ruszeniem pobliskie psy pobudził, i od nich rozszarpany został, albowiem nie skrzypców to cnotą się działo, że Orfeusz sławnym z grania został, ale nauką i przymiotami śpiewania, które od matki zabrał.

Bo jeżeli wielość książek uczonym czyni, któż będzie mędrszy nad księgarzów, albo nad stróżów królewskich książnic, którzy dzień i noc między księgami się bawią? I taką rzeczą miarą nauki byłyby bogactwa, i mądrość byłaby przedajna jako rzeczy do jadła lub odzienia, i nie trzebaby do tego więcej, tylko pieniędzy i woli".

Mędrek w prawdziwey swoiey postaci na publiczny widok wystawiony. Sandomierz 1786.

Skoro wieczór zachodzi wracam do domu i udaję się do mej pracowni. Na progu zrzucam odzież codzienną, pokrytą pyłem i brudem, biorę na siebie wspaniałe szaty dworskie, i tak godnie przystrojony wstępuję w czcigodne pałace starożytnych autorów. Dobrotliwie przyjęty, żywię się tam jadłem dla mnie najwłaściwszem, do którego zostałem stworzony. Nie lękam się przemawiać do nich, ani też badać motywy ich czynów, gdyż odpowiadają mi przyjaźnie. Przez cztery godziny nie odczuwam nudy, zbywam się wszelkiej troski, nie obawiam się nędzy, śmierć nawet nie przeraża mnie, tak dalece jestem pod urokiem starożytnych,

Niccolo Machiavelli.

Zbyt wiele czytamy lichych rzeczy, trwoniąc czas a nie odnosząc żadnej korzyści. Właściwie należałoby zawsze tylko to czytać, co podziwiamy.

Johann Wolfgang von Goethe.

Najpożyteczniejsze książki to te, które czytelnika zniewalają do uzupełnienia ich lub doprowadzenia do końca.

F. M. Arouet de Voltaire.

Mr. Toinard powiada, że pożyczone książki dlatego ak często nie są zwracane, ponieważ łatwiej jest zatrzymać książki, aniżeli ich treść.

Gilles Ménage.

Kiedy czyta się książkę, czyta się ją, jak się chce czyta się z niej a raczej w niej, co się chce. Książka przed stawia wszystko twórczości wyobraźni. To też umysły nieogładzone i pospolite czerpią z niej przeważnie tylko bladą i chłodną przyjemność. Teatr, przeciwnie, wszystko ukazuje a nie wymaga żadnej współpracy wyobraźni. Dlatego niezbyt podobają w nim sobie umysły, skłonne do rozmyślań i marzeń.

Wybrał Es-te. *Anatole France,*

Wśród czasopism.

NOWACZYŃSKI I CESARZOWA ELŻBIETA.

Słyszymy często: Nowaczyński i „Wielki Fryderyk", Nowaczyński i „Car Dymitr Joannowicz", Nowaczyński i „Mocarstwo Anonimowe". Przyrodzona skłonność i wybitne uzdolnienia w kierunku artystycznej interpretacji zagadnienia władzy jednostek z bożej lub djabelskiej łaski. Jak wyjaśnia artykuł „Adolphe Nowaczyński" pióra M. Kasterskiej w tygodniku „L'Europe Centrale" żywe zainteresowanie się Nowaczyńskiego sprawami królewskiemi datuje oddawna, od wczesnej młodości.

W dniu, w którym dzienniki krakowskie doniosły o morderstwie nieszczęśliwej cesarzowej Austrji Elżbiety z rąk anarchisty Włocha w Genewie, młody Nowaczyński zamanifestował swe ówczesne uczucia monarchiczne okrzykiem: „Niech żyje anarchja!", rzuconym w kawiarni, co mu sprawiło wiele przykrości i zmusiło nawet do opuszczenia grodu wawelskiego Było to w r. 1898. Zaznacza dalej p. Karsterska, że w sztuce „Komendant Paryża" znajdujemy „wspaniałą postać rosyjskiego rewolucjonisty".

Jest to komunard Potapenko, wygłaszający płomienne tyrady o „drańskim zachodzie".

Może sentyment dla haseł własnej młodości kierował piórem autora, który opuścić musiał niegdyś „Nowe Ateny" z powodu zajęcia tak zdecydowanego stanowiska względem cesarzowej austrjackiej, w chwilę po jej tragicznym zgonie.

Odpowiedzi „Głosu Prawdy" Literackiego.

W. Skob. Cóż robić, wrzuciliśmy do kosza, wiersz miły lecz pospolity.

Wanda. Dziękujemy za zaufanie. Nie przystosowując miar najsurowszych stwierdzić musimy z przykrością—żadnej wartości. Pomijamy treść, oraz sam pomysł tyle już razy robiony: Styl Pani niema żadnego charakteru, — jest poprostu żaden.

D. z Warszawy. Najlepszy jest początek wiersza „W przejeździe". Nie szuka Pan tam żadnych nadzwyczajności, daje Pan prosty dobry opis. Utrzymany w tonie i w nastroju. Potem zaczynają się niestety owe nadzwyczajności. Napuszone, naciągnięte. Radzimy zapomnieć o nadzwyczajnościach, próbować sił właśnie w takich małych opisach i nastrojach, nie uderzając, nie waląc, nie grzmocąc w struny t. zw. wielkiej poezji.

A M. Jest Pan bardzo niesprawiedliwy: Wiersz Słobodnika Ofelja napewno piękny, nic Pan o tym wierszu nie mówi. Burza Maliszewskiego bardzo dobra, wiersz Sebyły bardzo szlachetny. Rama Okienna Lewika pełna pięknego liryzmu.

Jerzy W. Znać dużą kulturę, znać talent. Nadużywa Pan porównań jednak! Wiersz o Gdyni jest właściwie nieustającą maskaradą słów i obrazów. Czy nie ma Pan bardziej zrównoważonych utworów w swej tece?

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „OSTOJA", Tamka 37. **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem**